Marzec-Kwiecień 2020

MAMMUTHUS MONTANUS

ssp. harnasiensis

250

PODORGAN MAMUTÓW SKPG „HARNASIE"

OD REDAKCJI

250. numer MM ukazuje się w szczególnym i chyba przełomowym czasie, czasie pandemii koronawirusa. To co się dzieje, ma i będzie miało ogromny wpływ na całe nasze życie, również na to, co opisujemy na łamach MM. Wydawałoby się, że turystyka we wszelkich odmianach nie jest dziś sprawą najważniejszą. Tym niemniej dla wielu osób – również z naszych kręgów – stanowiła nie tylko sposób na spędzanie wolnego czasu, rozwój fizyczny i intelektualny, ale też źródło dochodów – podstawowych lub dodatkowych. Nie wiemy, jak ułoży się świat po opanowaniu pandemii.

Tymczasem Koło jak wiele innych organizacji musiało zawiesić swoje działanie w przestrzeni rzeczywistej. Szczęśliwie – w zasadzie w ostatniej chwili – udało się zorganizować Blachowanie. Nie odbył się natomiast przygotowany na koniec marca Rajd Wiosenny. Nie odbyło się też Walne Zebranie. Zostało ono przełożone na czas nieokreślony. Nie doszedł również do skutku Kwadratlon w Chatce AKT na Pietraszonce, który miał być w tym roku organizowany przez nasze Koło.

Ledwie rozpoczęty nowy kurs przewodnicki musiał się przenieść w świat wirtualny. Wykłady odbywają się za pośrednictwem internetu. Tu należą się słowa uznania dla kierownictwa kursu oraz dotychczasowych wykładowców, którzy zdołali w błyskawicznym czasie pokonać wszelkie bariery techniczne i zorganizować taką formę wykładów. Kiedy odbędzie się pierwszy wyjazd – nikt na razie nie wie.

Ponieważ póki co wszyscy siedzimy głównie w domach, trudno się spodziewać nowych relacji z wyjazdów. Mamy za to nieco więcej czasu na wspomnienia. Zachęcam zatem do podjęcia prób przelania ich do pamięci komputerów, a potem przesłania do Redakcji. MM może się ukazywać nadal, o ile wspólnie zapełnimy jego łamy.

Miejmy nadzieję, że wkrótce sytuacja się poprawi i znów wyruszymy na szlaki.

Redakcja

PONAD DOLINAMI

Miałem ochotę na, analogiczne do wieczornych, wrażenia o poranku – to znaczy na czerwone blaski słońca na i tak czerwonawych ścianach maderskiego kręgosłupa. Pierwsze przebudzenie było falstartem – jeszcze ciemne niebo rozświetlone było zaledwie gęsto rozsianymi gwiazdami. Drugie następuje o właściwej porze, tyle że błękit nieba przysłaniają delikatne obłoczki, więc o zapalaniu szczytów muszę zapomnieć. Widoki ratują zasłane cienką warstwą chmur głębokie doliny z wyłaniającymi się ponad nimi, szarozielonymi, stromo opadającymi grzbietami.

Pakuję cały majdan, ale zanim wrzucę go na grzbiet, sprawdzam przebieg wyznaczonej kopczykami trasy, przy której stał mój namiot. Widzę, że prowadzi w dół bardzo słabo wydeptaną ścieżką,

cd. str. 2

BLACHOWANIE 2020

29.02 – 1.03 Koszarawa

W ostatnich latach blachowania odbywały się zwykle w schroniskach górskich, gdzie nie dało się raczej dotrzeć inaczej niż na piechotę. W tym roku blachowani zdecydowali się zrobić imprezę w dolinach, a konkretnie w Gminnym Ośrodku Kultury w Koszarawie. Wybór budził nieco kontrowersji, ale ostatecznie miejsce okazało się całkiem dogodne i impreza była bardzo udana.

Nie całkiem dopisała natomiast zima, ale w tym roku nie było jej prawie nigdzie. Okresowe opady śniegu zdarzały się wprawdzie w wyższych partiach gór, ale generalnie temperatura rzadko spadała poniżej zera, a doliny i niższe górki prezentowały się w szarozielonych barwach.

Impreza zaczęła się od posiłku ok. godz. 17.00. O 18.30 zarządzono wyjście do ogniska. Znalezienie miejsca na ognisko w pobliżu wsi i przy nikłej pokrywie śniegu nie było pewnie łatwym zadaniem, ale ostatecznie i ten problem udało się organizatorom, czyli młodszym Harnasiom, pokonać.

O ceremonii blachowania napiszę jak zwykle, że przebiegła zgodnie z tradycją. Należy jedynie wspomnieć, że przy ognisku zgromadziło się wyjątkowo dużo Harnasi (chyba ponad 50 osób), a wśród niższych blach prócz Kajetana znaleźli się m.in Wiewiór i Klucha.

Nietypowym zdarzeniem było poszukiwanie zakrętki od jednej z blach, która upadła na ziemię, ale wkrótce została odnaleziona przez jednego z blachowanych.

Po powrocie do ośrodka nastąpiła część artystyczna, która zaczęła się od powitania zgromadzonych przez kierownika ośrodka ubranego w strój regionalny. Były też upominki dla kierownictwa kursu – Dagmary Góralskiej i Ewy Szabelskiej oraz Harnasi, którzy wnieśli znaczący wkład w przebieg kursu.

Głównym punktem programu był natomiast nie – jak często bywało – zestaw skeczów i scenek, lecz niemal pełnometrażowy i profesjonalnie zrealizowanym film prezentujący sylwetki blachowanych oraz kierowniczek kursu. W rolę narratora wcielił się kursant i niedoszły blachowany – Krzysiek Mach. Tak nietypowa forma podsumowania kursu na pewno zrobiła na uczestnikach imprezy duże wrażenie i zostanie długo w pamięci.

Niespodziewany i spontaniczny wykład wygłosił też Krzysiek „Klucha" Kluszczyński.

Potem nastąpiła prezentacja i konsumpcja tortów, a później śpiewanie oraz rozmowy w podgrupach do 4.00 nad ranem, a może nawet dłużej.

Dla porządku przedstawiamy listę blachowanych:

Paweł Pękacz – blacha 414,
Robert Zaczek – blacha 415,
Alicja Nakonieczny – blacha 416,
Piotr Ścigała – blacha 417,
Jakub Będkowski – blacha 418.

Redakcja

ale byłoby to do pokonania w razie potrzeby. Teraz już się objuczam, wracam do szlaku i ruszam w kierunku zachodnim. Początkowo ścieżka lekko się obniża, by następnie zacząć zyskiwać na wysokości. Obłoki w dolinach się przerzedzają – najpierw dostrzegam część zabudowań Curral das Freiras, po chwili widać już całe zbocza, a kiedy szlak wyprowadza na siodełko w głównym grzbiecie, docierają do mnie blade jeszcze promienie słońca. W okolicach Pico das Eirinhas odchodzi szlak do Curral, oznaczony wymalowaną na kamieniu czerwoną strzałką – ten mam już na mapie.

Kawałek dalej ścieżka doprowadza do małej polanki z miejscem na ognisko, mogącej pomieścić dwa namioty – tyle że widok jest tutaj ograniczony gałęziami krzewów popalonych poprzednimi pożarami. Szlak prowadzi teraz północną stroną grzbietu i po chwili docieram do kolejnych rozstajów, gdzie przymocowane do wielkich metalowych drogowskazów, małe drewniane tabliczki są do tego stopnia nadpalone, iż trudno odszyfrować widniejące niegdyś na nich napisy. Dokładam starań i udaje mi się odczytać, że szlak w kierunku północnym prowadzi do Lombo do Urzal, zaś mocno nadgryziona zębem czasu inna metalowa tablica usiłuje przekazać informację, że znajduję się na Boca das Torrinhas.

Wkrótce spotykam pierwszą dwójkę, idącą z przeciwnej strony i po chwili następną, zaś na stromym podejściu na Pico do Jorge napotykam grupę Francuzów z przewodnikiem. Idę wolno – wolniej niż czas podany w przewodniku – bardzo mi dzisiaj ciąży mój niemały garb, ale wspaniały dookolny widok ze szczytu pozwala zapomnieć o wysiłku. Zapominam sprawdzić, czy widać tutaj odejście szlaku na południe – szlaku, którym chciałbym jutro zamknąć w tym miejscu małą pętlę – będę miał zapewne później dylemat, czy mogę się na tę trasę odważyć. Na mapie oznaczony jest kropkami, co oznacza szlak w gorszym stanie, może w ogóle już nieużywany i nieutrzymywany. W pamięci zostanie mi jedynie znajdujący się opodal kamienny kopczyk, który pozwala mieć nadzieję.

Po chwili odpoczynku zaczynam zejście, spotykając dwoje Niemców, którzy mnie zaczepiają. W trakcie pogawędki pytam przy okazji o wodę – tak, siedemset metrów dalej mam trafić na mały ciek wodny – ale dziewczyna proponuje mi, że dadzą mi trochę swojej wody, bo mają dużo. Dziękuję i odmawiam – na siedemset metrów jeszcze wystarczy mi mojej. Idę dalej, pilnie się rozglądam za tym ujęciem i już nawet mam wątpliwości, czy go nie minąłem. Wreszcie trafiam na niewielki wprawdzie ciek, ale zmyślnie przez kogoś zaopatrzony w sporej wielkości liść, ułatwiający nabranie wody. W tej sytuacji roztasowuję się tutaj na dłuższą chwilę, przygotowując zasłużony posiłek.

Na koniec uzupełniam zapas wody i ruszam w trasę. Ogarniają mnie pojawiające się znikąd chmury, a nawet zaczynam odczuwać chłód. Trwa to jednak bardzo krótko, chmury równie szybko się rozpływają i już po chwili dopada mnie upał, zaś widoki stają się jeszcze piękniejsze. Trasa wiedzie na szczęście głównie w dół, gdyż przełęcz Boca da Encumeada, do której dążę, leży około 600 metrów niżej. Na prawo otwiera się dolina aż do Sao Vicente na północnym wybrzeżu Madery. Jest to charakterystyczne miejsce, jako że umożliwia komunikację w poprzek wyspy, zarówno starą drogą przez przełęcz, jak i nową, skracającą przejazd tunelem pod głównym grzbietem. Dostrzegam z góry oba te warianty wraz z rozgałęzieniem szos w Rosario. Przede mną też coraz częściej widać parkingi na Boca da Encumeada, gdzie od biegnącej w poprzek wyspy trasy odbija szosa na największy płaskowyż Madery: Paul da Serra.

Po dotarciu do asfaltowej cywilizacji szukam jej plusów, a konkretnie piwa. W najbliższym sklepiku piwo jest i odstrasza ceną, ale pragnienia już byle czym odstraszyć się nie da. Duże piwo kosztuje 2 euro, małe 1,50, zatem proszę o duże i pani podaje mi… butelkę 1/3 litra… Jakoś wypadło mi z głowy, że oni tu w ogóle półlitrowych nie mają, a małe to po prostu ćwiartka. Staram się delektować złocistym napojem, zamiast wysączyć go duszkiem, a przy okazji przeglądam mapę. Rozważałem nieznaczne rozszerzenie trasy poprzez zapuszczenie się odrobinę jeszcze w kierunku zachodnim, jednak czas ucieka i muszę się pogodzić z faktem, że na tym wyjeździe nie uda mi się zapoznać z terenem leżącym na zachód od Encumeady. No cóż, może kiedyś w przyszłości?

Ruszam zatem szosą w dół, zostawiając na bliżej nieokreśloną przyszłość lewadę Folhadal odchodzącą na pierwszej serpentynie w prawo. Asfalt opuszczam na kolejnej serpentynie. Na początku szerokiej drogi szutrowej stoi drogowskaz ze szlakiem PR12. Za bardzo pojemną rurą, która sprowadza wodę z gór, droga zmienia się w ścieżkę na tyle jeszcze wygodną, że wiele ze spływających żlebami potoków przekracza się po drewnianych mostkach. Prowadząc głównie lasem, generalnie w kierunku wschodnim, szlak opada jeszcze odrobinę, by osiągnąć mój dzisiejszy najniższy punkt na kamiennym moście ponad Ribeira do Poco. Tutaj przychodzi pora na kawę w popołudniowym upale – na tyle doskwierającym, że smaruję ręce aż po łokcie, żeby zbyt szybko się nie opaliły.

Po tej odrobinie rozpusty zarzucam plecak na grzbiet i ruszam terenem, w którym następuje zupełna zmiana, zarówno w poziomie, jak i w trendzie wysokościowym. Mijam kilka mniej lub bardziej zrujnowanych zabudowań, a także parę w całkiem przyzwoitym stanie. Kiedy przeciwległym zboczem doliny podchodzę dosyć jeszcze łagodnie na boczny grzbiet, dostrzegam schodzących z góry dwóch najwyraźniej miejscowych, władających jednak językiem obcym, gdyż zasiadając na widokowym miejscu i wyciągając dużą butelkę, wołają do mnie:

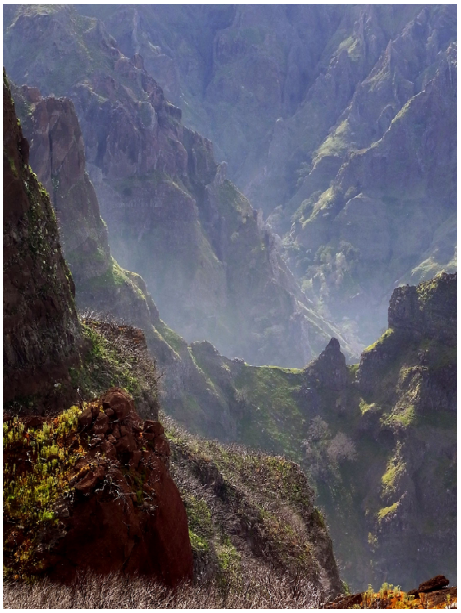

– Come to drink!

Zawartość butelki wygląda mi na rodzaj coli, więc odmawiam z uśmiechem, dziękując za propozycję. Cóż, gdyby to było piwo, niechybnie bym z niej skorzystał.

Las zostawiam za sobą. Wychodzę na otwarte przestrzenie. O ile pozostający na zachodzie płaskowyż Paul da Serra przykrywają chmury, które zsuwają się z niego stopniowo w doliny, to w mojej części gór coraz bardziej niepodzielnie panuje błękit. W pobliżu Piquinhos spotykam potencjalne miejsce na wygodne postawienie namiotu, ale to dla mnie jednak zbyt wcześnie. Szlak stopniowo zyskuje na wysokości i prowadzi teraz pod ścianami Pico Grande, od zdobycia którego planuję zacząć następny dzień, o ile znajdzie się przyzwoita ścieżka. Na razie jednak podążam w kierunku Boca do Cerro, zachwycając się widokami z traktu przecinającego niezwykle strome stoki praktycznie w połowie między wierzchołkami a dnem doliny.

Zbliża się już wieczór, kiedy chmury zwalniają płaskowyż Paul da Serra. Odsłonięte zostają rzędy wiatraków, a mnie dzielą już tylko ostatnie kroki od przełęczy, na której mam zamiar zanocować. Boca do Cerro osiągam w momencie, gdy słońce opiera się już na wiatrakach – najwyższa pora na rozstawienie namiotu. Zaglądam z ciekawością w leżącą u stóp, pogrążoną w cieniu dolinę, gdzie rozłożyło się trudno dostępne Curral das Freiras. Nie myślę w tej chwili o sprawdzeniu, czy odbija stąd na północ moja planowana na jutro trasa. Najważniejsze teraz to kawałek płaskiego miejsca pod namiot, a o to akurat w tym momencie najtrudniej.

Spoglądając raz po raz na czerwieniejącą przede mną skalną głowę Pico do Serradinho, kontynuuję marsz na południe – o tyle dokładam sobie drogi na jutro. Szukam czegoś, co by się nadawało na sensowne spędzenie nocy. Niestety, niczego ciekawego nie znajduję, kiedy więc ścieżka rozszerza się do szerokości dróżki, decyduję się rozbić namiot po prostu na niej. Po chwili mój hotel już zajmuje całą szerokość traktu, a ja zabieram się za kolację w gasnącym świetle pełnego wrażeń dnia. Pozostaje niepewność co do jutrzejszej trasy, ale cóż – teraz już tego nie rozstrzygnę. Rozwiązanie dylematu musi przynieść kolejny dzień…

Wojtek Spała